Ner 1. Kraków 1 stycznia 1868. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiej Nr 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9tej do 12tej rano.

†

ARTUR GROTGER

zmarł dnia 13. Grudnia 1867. r. w Amelies les Bains we Francyi.

Cześć pamięci jego!

☛ Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **mody**.

Pogadanki domowe.

PRZEZ

Paulinę Wilkońską.

I.

Domem mężczyzny jest świat, światem kobiety jest dom — jéj światem i szczęściem całém! — Mężczyzna głową jest domu — niewiasta ozdobą jego, wdziękiem, ciepłem słoneczném, zesłanką Bożą. Dla mężczyzny życie poza domem, powinności krajowe — najświętszym są obowiązkiem. Dla niewiasty jéj życie rodzinne i domowe. Domu swojego ona jest kapłanką i opiekuńczą strażniczką. W domu swoim najwyższe znaleść powinna szczęście, bo nie masz go dla niéj bez rodziny i domu. Rzucona sama jedna wśród obszaru świata, błędną staje się sierotą, z tęskniącém wiecznie sercem. A biada kobiecie, która poza domem szczęścia szuka, która domu swojego nie kocha! Mąż trzyma za jeden węgiel domu, kobieta za trzy. Mężczyzna w życiu publiczném winien powodzenia szukać i jemu może, a nieraz musi świat starczyć za dom, a ogół za rodzinę. Ależ i on uwieńczony zasługą i aureolą sławy otoczony, za ogniskiem domowego spokoju zatęskni. Bo wbrew wszelkim teorjom, zaród téj serdecznéj potrzeby w życie przynosimy z sobą. W nim bywa błogosławieństwo i boleść ziemi.

Obowiązkiem jest kobiety — żony — córki — siostry — by mężowi, strudzonemu sprawami publicznemi, dom uczyniła wypoczynku świątynią.

Nieraz to kłopoty, zawody, straty, łamania się z powszednością, upokorzenia i gorycz, przycisną go srodze. Wtedy niechaj kobieta powita wracającego do domu pogody wyrazem, uśmiechem miłości, uściskiem, współczuciem — niechaj mu niesie pociechę, własnego radząc się serca. Skwaszona mina, ostra przymówka, wyrzuty niewczesne do ostateczności doprowadzić go mogą. Widziano już smutne tego przykłady. — Jeżeli mąż, nie znajduje w domu łagodności ale upór, ucieka z domu: jeżeli nie znajduje ciszy, ale kłótliwość, zbrzydzi sobie dom; jeżeli nie znajdzie wyrozumienia, stanie się srogim i dzikim; jeżeli nie znajdzie schludności uśmiechającéj się z każdego kąta i sprzętu i ubioru, może dom znienawidzić. „Zła żona, mówi Salomon, jest jak kapanie deszczu przez dach“.

Niewiasta odebrała namaszczenie, by jako matka, żona, siostra, córka, niosła swoim pociechę — miłość i zawsze tylko miłość.

Miłość — zgoda — pobłażliwość wzajemna, są najpierwszym warunkiem rodzinnego szczęścia i domowego spokoju. Bez zgody i jedności w rodzinie, nie masz błogosławieństwa Bożego.

Pamięć o potrzebach domu, do gospodarza należy. Baczenie o wygody i porządek, zadaniem jest gospodyni.

Gospodarz winien dbać o całość — gospodyni o każden domowy, najdrobniejszy przedmiot.

Nie pięknie urządzone salony, stanowią wygodę mieszkania, lecz uwaga na różne szczegóły i szczegółki, które jedynie oko rządnéj gospodyni domu dostrzedz potrafi.

I szczupły domek dać może wygodę i przyjemność — byle go tylko urządzić po temu.

Porządek — czystość — rozkład pracy i zajęcia — urządzenie właściwe — śpiżarnia — apteczka — zaopatrzenie od zimna — służba skrzętna i sumienna — oto pierwsze warunki.

II.

Sługi winny panią domu szanować i kochać — i lękać się zarazem, by opieszałością, niedbalstwem, jéj nagany nie ściągnąć. Niepotrzebne są łajania i gniewy, które odstręczają tylko — a wystarczy bezprzestanne przestrzeganie obowiązkowych czynności i porządku.

Pani, która łaje i krzyczy, traci powagę i przychylność u służby — nie naprawi jéj, owszem, ozuchwali i oburzy — bo sługa to człowiek.

Miłość zgody pomiędzy służbą jest konieczną zasadą. Żadne podszepty i tajemne oskarżania — miejsca mieć nie powinny, nie powinna ich pani słuchać, nie powinna się zadawać z służbą w bajki, a zato pogadać nieraz o ich potrzebach.

Wieloletnia, wierna sługa, błogiém przy domowém ognisku bywa zabytkiem. Przyrośnie sercem do rodziny pańskiéj. Zwykła o wszystkiém wyrażać się: nasze, nasze dzieci! — i często daje dowody miłości prawdziwéj i poświęcenia. Dawniéj z pokolenia w pokolenie panowie ze służbą pospołu szli po drodze żywota: syn służył u syna — wnuk u wnuka — spólną była ich dola, zaufanie bez granic, wierność nieposzlakowana i przywiązanie wzajemne. Stosunek ten zaiste był szczęsnym — a dziś nam takiego potrzeba!

(Ciąg d. n).

WALCZĄCYM!

I.

Rzekł pan słudze: na duszę dajęć moje znamię —
Idź w drogę jako woźny, jako zwiastun sądu,
Idź, groź ogniem, groź mieczem, groź znakami trądu,
Idź spokojny! słabego wesprze moje ramię.

Idź, głoś prawdę, nie pytaj, że świat cały kłamie,
Nie trwoż się, choć całego zdrady sieć omota,
Nie chmurz się, choć na niebie długo będzie słota,
Nie sęp się, choć ci burza pierwsze szczepki złamie.

Idź, jak stoisz: twa siła cała w twojéj duszy;
Z niéj ona tryskać będzie łzą, skrą, miecza brzękiem,
Idź jak taran, co stare, zgniłe mury kruszy,
Idź jak żołnierz, co z śmiechem zdobywa lub jękiem.
Idź, płacz i śmiéj się; kogo śmiech twój nie rozżali,
Kogo płacz twój nie zmiękczy, tego żar twój spali.

II.

Żar rzucaj zimnym w piersi, ogniem pal im czoła;
Choćbyś sam się popalić miał, nie cofaj kroku,
Nie cofaj się, choć czasem zabłądzisz w pomroku;
Człeka ja szlę do ludzi w tobie, nie anioła.

Lekarze leczyć będą, sędziego zawoła
Sąd ziemski przed swe kratki i wyrok nań wyda,
Na żołnierza żołdacka sterczyć będzie dzida,
Człeka wiary otoczy zewsząd straż kościoła.

Lecz ty wytrwasz do końca jako pies, stróż domu,
Co szczeka na złodzieja z swéj budy strażniczéj;
Ty wytrwasz jak na dachu drut, przewodnik gromu —
Ty wytrwasz jak ów trębacz, co na ogień krzyczy,
I pierwéj nie pomyślisz o nagrodzie trudu,
Aż całego pod sztandar nie zaciągniesz ludu.

Józef Sęp.

SYRENA.

(POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA.)

I.

Wilija Bożego-Narodzenia

Ogromne śniegi przysypały pola i zawiały drogi; gdzie spojrzeć, wszędzie gładko i biało jakby białym obrusem nakryto ziemię do dzisiejszéj wieczerzy; kępki świerków zielenią się na niéj niby choinka dla dzieci, a w górze na niebie zapalano już tu i owdzie gwieździste świeczniki. Na czerwoném tle zachodniego nieba czerni się krzyż, wpół już przegniły i zielonym mchem porosły od starości, koło niego kilka krzaków głogowych, z których podlatujące wrony otrząsają strzępy śniegu.

Od krzyża szedł ku wsi przez zaspy śniegu jakiś sołdat w długiéj, podartéj szyneli, z tobołkiem na plecach, wygoloną głowę przykrywała okrągła czapka bez daszka, mająca wiele podobieństwa do miski. Sołdat niemłody już i zmęczony drogą powoli i z trudnością posuwał się naprzód, zostawiając po sobie dziwne ślady w śniegu, które szły za nim jak łańcuch za nogę więźnia. Łańcuch ten składał się z odcisków lewéj stopy powiązanych ze sobą, niby ogniwami, dziurami, jakie zwykła robić okuta laska głęboko w ziemię wbita. Były to znaki szczudła, które zastępowało prawą nogę, zostawioną w szpitalu w jednéj forteczce kaukazkiéj. — Zamiast nogi, przyczepiono mu na piersiach małą wstążeczkę kolorową z ołowianym medalem.

Z nadchodzącym zmrokiem mróz się wzmagał, niebo coraz silniéj iskrzyło się brylantowemi połyskami gwiazd, pod nogami śnieg coraz więcéj skrzypiał i chrupiał. Mimo to twarz żołnierza szkliła się od potu, resztką sił zwalczał znużenie, kopał się i grzebał przez śnieg z gorączkowym pośpiechem — a siwe oczy wytężał co chwila ku wiosce w tę stronę, gdzie się chwiały wysokie topole przypruszone śniegiem, poglądał na ten punkt jak żeglarz na szarzejący się zdala ląd. Doszedł wreszcie do mostku, od którego rozpoczynała się wioska, tu oparł się o poręcz, chciał chwilę spocząć, odetchnąć; ale niepokój popchnął go znowu daléj.

Po chatach gorzały już ognie, krwawe ich połyski łamały się na zabrudzonych szybach okienek; żołnierz przechodząc rzucał w nie spojrzenia, widział twarze wesołe koło domowego ogniska; ten widok dodawał mu sił do pośpiechu i gnał go daléj.

— I mnie tam czeka takie ognisko, takie twarze i uśmiechy — za chwilę, nie długo — mówił zdyszanym głosem — idźmy, idźmy!

Koło karczmy zatrzymał go stróż nocny.

— Kto idzie?

— Swój, swoj. Posłuchaj ty bracie, czy..,

Zawahał się, chciał i bał się zarazem zapytać, pytanie w połowie uwięzgło mu w suchém gardle.

— O cóż chcieliście spytać?

— Czy dziedziczka żyje? — soldat wyrzucił z pośpiechem to pytanie i przerażone, niespokojne oczy zatrzymał na ustach chłopa.

— A jakże, żyje.

Nie chciał pytać już o nic więcéj i prędko poszedł ku dworowi. Gdy się zbliżył do sztachet otaczających ogród, wpośród którego bieliły się mury ozdobnego pałacyku, osłupiał ze zdumienia, przetarł oczy, jak człowiek usilujący się ze snu wybić, obejrzał się w koło i szepnął:

— Co to jest? — To nie tu.

Ale zobaczył przy drodze murowaną kapliczkę, przed którą lud zwykle majowe odprawiał nabożeństwo, poznał ją po kamiennych schódkach wygniecionych kolanami, po téj zardzewiałéj kracie we drzwiach, ubranéj w uschłe ziele, i rzekł znowu do siebie:

— Jak się tu wiele zmieniło — a ludzie czy także?

Wsunął się przez żelazną bramę do ogrodu, przemknął się cicho między białemi szpalerami i zbliżył się pod jedno duże weneckie okno, z którego jasna kolumna światła padała na ogród. Serce poczęło mu bić gwałtownie; podniósł się na palcach i zajrzał w głąb pokoju. Przed dużém zwierciadłem siedziała młoda kobieta, twarzy jéj nie widział, ale widział odsłonięte ramiona, mające kształty greckiego posągu i białość marmuru oblanego różowém światłem; po ramionach miękkie, czarne połyskliwe włosy, które pokojówka stroiła w téj chwili w girlandę z białych hyacentów. Suknię miała na sobie różową, płonącą. Kiedy służąca odsunęła się nieco na bok, sołdat ujrzał w głębi lustra twarz téj kobiety. Dreszcz i gorąco przeszły po nim, osłupiał z podziwu a zarazem uczuł jakąś tajemną trwogę na widok téj twarzy, która przy swéj piękności niezwyczajnéj miała coś demonicznego: czarne podłużne oczy były jak noc pełne nieodgadnionych tajemnic.

— Nie, to nie moja Paulinka, ona nie mogła być tak piękną. A przytém gdym ją raz ostatni żegnał, miała włoski jasne. — Ale któż ta? —

Chciał już odejść ku drzwiom, gdy do pokoju wszedł jakiś mężczyzna średniego wieku, twarz jego miała dziki smutek a ruchy były gwałtowne, niespokojne. Wszedłszy stanął we drzwiach, spojrzał ponuro na kobietę siedzącą przed zwierciadłem; potém skinieniem ręki kazał służącéj oddalić się i postąpił na środek pokoju.

— Wieczerza na nas czeka.

— W téj chwili będę gotową — odrzekła słodkim, dzwięcznym głosem kobieta wkładając na szyję sznur pereł.

Sołdat przypatrujący się téj scenie z za okna, nie mógł pojąć dlaczego słodki ton mowy téj cudownéj kobiety podrażnił mężczyznę. Zbliżył się do niéj szybko, chwycił ją gwałtownie za rękę i topiąc w niéj głębokie, wciskające się spojrzenie, spytał stłumionym głosem:

— Dla kogo się tak stroisz? —

Odchyliła w uśmiechu szereg białych zębów, rzuciła na niego spojrzenie błyszczące, ogniste i rzekła:

— Dla ciebie, dla ciebie.

— Kłamiesz. Tyś się dla niego wystroiła, ty wiesz, że on tu dziś przybędzie. Przybędzie, co? —

— Nie wiem o kim mówisz.

Mężczyzna roześmiał się dziko, spazmatycznie, załamał ręce i syknął:

— O! jak ty udawać umiesz. Powiedz, czy ciebie szatani uczyli téj sztuki?

Gniew przeszedł w wściekłość, przyskoczył ku niéj jak tygrys raniony. Nie wzdrygnęła się ani ulękła, patrzała mu prosto w oczy.

— Więc dla mnieś się ustroiła tak? Dobrze. Ten strój więc do mnie należy.

To rzekłszy, zrucił z jéj głowy gierlandę hyacentów i rzucił ją pod nogi, chwycił za perły, rozerwał, perły jak łzy potoczyły się po jéj piersiach, za gors, na ziemię i dzwoniły po posadzce.

Ona nie rzekła ani słowa, uśmiech czuły, anielski nie zeszedł z jéj twarzy, tylko spojrzeniem palących, czarnych oczów przygniatała tę burzę wściekłości jak muzyk rozszalałe klawisze. Nie mógł znieść tego spojrzenia i spuścił oczy.

— Czy już się zadowolniłeś? — spytała go po chwili łagodnie. — Teraz chodź i przeproś.

I wysunęła naprzód dwoje białych rąk, na których błyskały bransolety. Temi słowami pokonała go do reszty, przygniotła wzdęte bałwany jego gniewu, rzucił się przed nią na kolana i ustami jak pijawka uczepił się jéj rąk.

— Dziecko z ciebie Edwardzie — rzekła z dobrocią kładąc jego rozpaloną głowę na swoich kolanach i topiąc ją między różowe atłasy.

— Irreoltemo! — szeptał mężczyzna — zapomnij o tém co było.

— Nie mówmy o niéj.

— O, ja wiem, że ja jestem zły, bardzo zły dla ciebie nieraz. Ale to dla tego, że cię kocham. Ty nie pojmujesz jak szalona zazdrość męczy mnie o ciebie, jak pali ona mnie i gna niby Erynya. — Pochwyciłem kilka spojrzeń waszych i zbudowałem na nich cały gmach domysłów, które mnie gniotą. O! niech Bóg broni, żeby

ten gmach miał zwalić się na was, ludzie nie doszukaliby się trupów waszych wśród tych gruzów. Ty go nie kochasz, prawda?

— Kogo? —

— Brata mego

Uśmiechnęła się z pobłażaniem i położyła swoje usta na jego ustach. Odsunął się od téj pieszczoty.

— Unikasz odpowiedzi? Pocałunkiem chcesz mi zamknąć usta. Mów, odpowiadaj, mnie potrzeba słów, przysięgi.

— Czy nie słyszałeś jéj przy ołtarzu?

— Prawda. O jaki ja szalony, jak dziecinne me zachcenia. Widzisz, ja zmysły tracę. Nieraz kiedy myśli zapuszczę między czarne podejrzenia, to mi się mąci w głowie, boję się wtedy o mój rozum, bym resztek jego nie stracił.

— To nerwowy rozstrój. Zaniedbujesz się w leczeniu, to mi przykrość sprawia.

— Czy naprawdę tak dbasz o moje zdrowie? — spytał, patrząc jéj z miłością w oczy.

— Ostatnia paczka proszków nie tknięta jeszcze leży u mnie.

Wstała do biórka, otworzyła szkatułkę i wyjęła z niéj jeden proszek.

— Proszę go zażyć, bo inaczéj będę się gniewać.

— Będę ci posłuszny jak niewolnik — odrzekł całując ją w rękę

Zadzwoniła. Wszedł stary, siwy służący.

— Przyrządź panu ten proszek z sokiem malinowym i przynieś tutaj.

Po odejściu służącego wzięła go za rękę, poprowadziła ku kanapie i rzekła:

— Lekarstwo cię uspokoi.

— Twoja dobroć, to jedyne lekarstwo moje.

– To dodatek do lekarstwa — i nachyliła się ku niemu z pocałunkiem.

Wstrząsnął się cały od dotknięcia jéj ust.

— Co ci jest?

— Twoje usta takie zimne Irreoltemo, aż dreszcz mnie przeszedł na wskroś.

Uśmiechnęła się uśmiechem dziwnym, przymusowym.

— To właśnie dobrze, lodu ci potrzeba na twoje gorączki.

— A tobie mojego ognia, mój marmurowy posągu, moja Galateo.

— Pigmalionie — rzekła słaniając się w jego objęcia i czepiając się rękami jego szyi — Pigmalionie! niedobry Pigmalionie.

W téj chwili sanki zadzwoniły przed pałacem. Pigmalion zerwał się i spojrzał bystro w oczy kobiety.

— Ha! na ten odgłos tyś drgnęła, słyszałem jak ci serce zabiło silniéj i z pośpiechem, tyś się domyśliła, że to on!

Chwycił się za włosy, zatargał niemi i zawołał podniesionym głosem z rozpaczą:

— Boże! kto mnie przekona, że ta kobieta mnie nie zwodzi?

Sołdat stał cały ten czas za oknem i był swiadkiem sceny, z któréj nie wiele rozumiał. Gdy sanki stanęły przed pałacem, usunął się zpod okna i poszedł ku drzwiom, w których ukazało się światło. Jakiś młody, wysoki mężczyzna w wojskowym mundurze wyskoczył ze sanek, zrzucił z ramion futro na ręce służącego i zniknął w sieni.

— Weźcie tłumoczek i chodźcie za mną — rzekł służący do żołnierza, którego wziął za sługę pułkownika.

Żołnierz odurzony tém wszystkiem, co się w koło niego działo, wziął machinalnie kuferek ze sanek i poniósł go do przedpokoju Postawił na ziemi, obejrzał się w około, jakby się chciał orjentować, potém zbliżył się do służącego i spytał:

— Powiedzcie mi, moi drodzy, kto tu właściwie mieszka?

— Alboż nie wiecie? Brat waszego pułkownika.

— Brat pułkownika.... no! no! — rozumiem. Aleź tu dawniéj inni ludzie mieszkali; gdzież oni? gdzież ten mały dworek się podział, co tu stał w ogrodzie?

— Więc wy tutejszy, wy znaliście, jak tu dawniéj było? —

— Znałem, znałem, ale przez Bóg żywy powiedzcie, co się stało z dawnymi dziedzicami téj wioski? —

— Smutne rzeczy.

Żołnierz zbladł — drżące wargi posiniały.

— Umarli? —

— Bóg to wie. Pana za jakieś spiski w czterdziestym szóstym roku pojmano w drodze, gdy jechał do Warszawy. Miał wtedy przy sobie małego synka.

— I ten syn nie wrócił do rodziny?

— Nie, nie wrócił. Potém zjechali jacyś starsi tu do nas, i powiedzieli, że wioska należy do rządu, że będzie puszczoną na licytacją. Pani do nóg im się rzuciła — nie prosiła o majątek, prosiła tylko, by jéj powiedziano, co się z mężem stało.

— I nie powiedziano jéj?

— Nie. Ruszali tylko ramionami i mówili: nie wiemy. Kazano jéj w przeciągu miesiąca opuścić wieś — nie czekała tego terminu i w niespełna dwa tygodnie odjechała. — Żal mi było téj dobréj pani, rzuciłem się jéj do nóg, prosiłem, by mnie zabrała z sobą, bom się przywiązał do ich domu jak pies wierny.

— Ty masz rodzinę — rzekła mi na to — ty musisz żyć dla niéj. Rodzina twoja przeklinałaby mnie, jak ja teraz przeklinam tych, którzy mi męża mojego zabrali.

— Więc zostań pani z nami — prosiłem. Prośba szła z serca, ale ją widać obraziła, bo nie odrzekła nic,

odwróciła się odemnie, kazała mi pakować rzeczy do drogi. Dumna była pani.

— I gdzież, gdzież pojechała?

— Pytałem ją o to, odpowiedziała: nie wiem; pójdę szukać pracy, którąbym wyżywiła siebie i moje dziecko.

— Więc ani śladu po nich. Boże, Boże, to okropnie — zaryczał boleśnie stary sołdat.

Służący spojrzał na niego osłupiały, wpatrzył się w niego i zapytał:

— Któż wy więc jesteście?

— Nieszczęśliwy — odrzekł żołnierz — zasłonił twarz rękami, upadł na krzesło i począł płakać.

— Jakto? więc pan jesteś...

Silne pociągnięcie poruszyło dzwonek w téj chwili. Służący nie uważał tego, ukląkł przed żołnierzem ze łzami w oczach, i drżącym głosem rzekł:

— Panie, mój, panie mój złoty.

Dzwonek powtórnie, gwałtowniéj zabrzęczał.

— Wołają mnie. Za chwilę wrócę.

Wszedł do pokoju, w którym dwaj bracia siedzieli więcéj milcząc jak rozmawiając.

— Trzecie nakrycie — rzekł pan domu do wchodzącego sługi.

— Nieparzysto — wtrącił służący.

— Rób jak kazałem.

Służący wyszedł.

— Co on chciał przez to powiedzieć? — spytał pułkownik.

— Że jedno z nas trojga umrze tego roku, bo nas dziś nieparzysto będzie przy wieczerzy. Taki jest przesąd ludu — rzekł i popatrzył ponuro na brata.

— Śmieszny przesąd.

— I ja tak myślę, a jednak łamiąc go, doznaję niejakiego skrupułu, ten przesąd miała i matka nasza. Ty pamiętasz ją Konradzie?

— Jak przez mgłę. Wcześnie oddany do szkoły wojskowéj, tak mało byłem z wami razem. Musiano mnie nie lubićć w domu, kiedy mnie tak wcześnie z niego wydalono.

— Temu przesąd był winien.

— Dziwna rzecz, jestem ofiarą tego, w co najmniéj wierzę, czemu najmniéj się poddaję. — I jakiż przesąd pozbawił mnie miłości matki? —

— W dniu, w którym się urodziłeś, największe nieszczęścia dotknęły naszą rodzinę. Ztąd poczęto uważać cię jak złego ducha naszego domu.

Pułkownik skrzywił usta ironicznym uśmiechem.

W téj chwili drzwi od salonu skrzypnęły, zielona kotara się poduiosła, i weszła do pokoju Irreoltema. Nie miała już pereł, ani gierlandy, kilka tylko kwiatków pozaczepiało się o jéj loki, jakby je spinały. Pułkownik wstał na jéj powitanie — brat jego śledził badawczo ich spojrzenia. Nic nie wyśledził. Irreoltema miała oczy spuszczone w ziemię, czarne, płonące oczy nakryte białemi powiekami i ciemną, długą rzęsą. Usiedli do stołu. Gospodarz domu wziął opłatek w rękę i złamał się nim z żoną, potém z bratem.

— Życzę wam szczęścia — rzekł posępnie — a wy mnie co? —

— Ja spokoju — rzekła Irreoltema i do życzenia dodała głębokie, czułe spojrzenie.

Podziękował jéj uściśnieniem ręki.

Irreoltema podała opłatek Konradowi. Pod nakryciem białego opłatka dotknęła jego palca i lekko go ścisnęła. Pułkownikowi krew wystąpiła na twarz, zmięszał się, opłatek upuścił z ręki. — Brat dojrzał to wzruszenie jego, spojrzał na żonę, ale na jéj twarzy nic nie ujrzał; była spokojna, mile uśmiechnięta. To go uspokoiło. Podczas wieczerzy jednak pilnie ich uważał. Pułkownik siedział po jednéj stronie stołu — mąż po drugiéj, a Irreoltema w środku pomiędzy nimi. Naprzeciw Edwarda wisiało duże zwierciadło w ten sposób, że mógł w niém widzieć w całości postacie żony i brata. Zauważył, że pułkownikowi w rękach zabielił się pod stołem przez chwilę jakiś papier, że nieśmiało i powoli wyciągał ten papier w stronę, gdzie siedziała Irreoltema, że dotknął nim jéj atłasowéj sukni. Irreoltema wtedy drgnęła lekko i spojrzała na męża, oczy ich spotkały się.

— Co tobie jest Edwardzie, zmieniłeś się tak strasznie. —

W téj chwili pułkownik cofnął rękę z kartką.

— Co mi jest? Nic, mały atak do głowy.

— Pójdę przyrządzić ci lekarstwo.

Wstała pospiesznie unikając jego strasznego spojrzenia; wychodząc rzuciła okiem w lustro i domyśliła się wszystkiego.

Po jéj odejściu jakiś czas trwało milczenie, przerwał je Konrad, któremu ono ciężyć zaczynało.

— Dobrą i troskliwą masz żonę — kocha cię.

— Czy tak sądzisz? — Chciałbym, żeby tak było; bo ja ją tak kocham, że gdyby kiedykolwiek przyszło mi ją utracić, nie przeżyłbym tego.

— Młodość jéj zapowiada ci, że ją nie prędko stracisz.

— Ale piękność jéj wznieca obawę moją.

— Dziwaczne przypuszczenia.

— Dziwaczne?

— Dziwaczne i o ile mi się zdaje, niesłuszne.

— Czy tak myślisz? O przekonaj mnie, zaręcz mi słowem, że niesłuszne.

I wyciągnął dłoń ku niemu. Pułkownik zawahał się podać swoją.

— Zkądże ja mam ręczyć?

— On winny, nie ma wątpliwości — pomyślał Edward — ale czy ona także? — Dziś trzeba skończyć tę wątpliwość. — Tak, dziś. Boże! drżę przed tém, co z téj niepewności narodzi się dla mnie.

Potém odezwał się głośno:

— Lekarstwo przy wieczerzy, to śmieszne trochę, wypiję je w pokoju Irreoltemy. Daruj, że zostawiam cię samego, za chwilę wrócimy oboje.

Wyszedł — za chwilę weszła Irreoltema ze szklanką i lekarstwem.

— Gdzież Edward?

— Wyszedł do pani pokoju.

— Nie był tam wcale.

Umilkli oboje i nasłuchiwali przez chwilę; potém pułkownik chciał powstać i zbliżyć się ku niéj — dała mu znak ręką, by został, i cichym szeptem odezwała się:

— Pułkowniku, jesteś nieostrożnym, zgubisz mnie. On widział.

— W jaki sposób?

— To lustro nas wydało. — Milczenie! — nadchodzi.

(Ciąg d. n.)

Z PRYRODY.

Oko i widzenie

odczyt publiczny Dr. *Lucyana Rydla.*

Docenta okulistyki w Uniw. Jagiell

Jakiekolwiek mielibyśmy zdanie o związku zachodzącym między spostrzeżeniami zmysłowemi a życiem duszy, ten pewnik żadnéj nie ulega wątpliwości, że wrażenia zmysłowe tworzą podstawę, na któréj się rozwija życie umysłowe, że one to dostarczają wątku, z którego dusza wyrabia pojęcia i wyobrażenia, że one to wreszcie utrzymują związek duszy z otaczającym nas światem zewnętrznym, o którego bycie i własnościach bez pomocy zmysłów żadną inną drogą niemoglibyśmy nabyć wiadomości. Ale jeżeli uznajemy ważność wpływu, jaki mają zmysły w ogólności na rozwój, podsycanie i utrzymywanie życia umysłowego, to zgodzić się musimy na to, że wrażenia odbierane zapomocą zmysłu widzenia, najważniejszą pod tym względem grają rolę; bo jeżeli oko zwykliśmy nazywać zwierciadłem duszy, to równém jeżeli nie większém nawet prawem nazwaćbym je mógł główną bramą, przez którą dostaje się do duszy najbogatszy zasób wrażeń, dostarczających jéj czynności najcenniejszego wątku.

Przeznaczeniem zmysłów jest pośredniczyć w poznawaniu świata zewnętrznego pod względem jego bytu i własności.

Poznawanie jest czynnością duszy; zapomocą zmysłów wchodzą więc z sobą w związek: z jednéj strony dusza, z drugiéj przedmioty świata zewnętrznego. Dwa więc głównie czynniki mają udział w każdéj sprawie zmysłowéj, dusza i przedmioty zewnętrzne, które, o ile wpływem swoim mogą dać duszy wiadomość o sobie, zowiemy podnietami zmysłowemi. Żeby atoli własności przedmiotów zewnętrznych dojść mogły do wiadomości duszy, znajdować muszą właściwe drogi, któremi wpływ ich docierać musi do mózgu, najbliższego cielesnego narzędzia duszy. W mózgu obudzona czynność niepojętym dotąd sposobem staje się dla duszy wiadomą. Temi drogami łączącemi duszę ze światem zewnętrznym, temi pośrednikami są narzędnia zmysłowe. Podnieta zmysłowa, narzędzie zmysłowe i spółudział duszy, oto trzy czynniki, mające udział w każdéj sprawie zmysłowéj.

Podnietą zmysłową, mającą udział w sprawie widzenia, jest światło, bez którego o widzeniu i mowy być nie może. Stosownie do przyjętego obecnie w nauce przekonania uważamy światło za skutek drgań najdrobniejszych cząstek eteru świetlnego, czyli właściwéj materyi sprężystéj, wypełniającéj przestwory świata i przejmującéj wszystkie ciała.

Narzędziem wzroku czyli zmysłu widzenia, jest oko. Jak każde narzędzie zmysłowe, tak téż i oko składa się z przyrządu nerwowego i z części pomocniczych. Przyrząd nerwowy oka stanowi nerw wzrokowy i tak zwana siatkówka, tj. jedna z błon, wchodzących w skład oka, a będąca rozpostarciem nerwu wzrokowego. Nerw wzrokowy ma swój początek w mózgu, dostaje się przez otwór w ścianie czaszki do jamy zwanéj oczodołem a mieszczącéj oko, dochodzi od tyłu do oka, zapuszcza się w jego wnętrze i rozpościera tamże w błonę zwaną siatkówką (która, jak już wspomniałem, jest częścią przyrządu nerwowego oka). Wyobraźmy sobie jeszcze, że cały ten przyrząd nerwowy wyposażony jest właściwą zdolnością, mocą któréj sprawione w nim pobudzenie jakiegokolwiek rodzaju, wywołuje czucie światła lub barw od tegoż zawisłych, a będziemy mieli pojęcie o przyrządzie nerwowym oka. Powiedziałem dopiero, że każda cząstka tego przyrządu pobudzona czyli zadraźniona w jakikolwiek sposób, wywołuje czucia światła lub barw. Należy to tak rozumieć, że każde takie pobudzenie dochodzi, niby prąd elektryczny po drucie telegraficznym, zapomocą nerwu wzrokowego do mózgu, najbliższego narzędzia duszy, która dostrzeżony téż sygnał pojmuje jako światło. Rodzaj podniety czyli bodźca obojętny jest pod względem wywołania prostego czucia światła. Podnieta światła niezbędną jest wprawdzie gdy idzie o widzenie, mające pośredniczyć w poznawaniu bytu i własności przedmiotów zewnętrznych, ale różnego rodzaju wpływy mechaniczne jak ucisk, szczypanie, szarpanie dosięgające nerwu wzrokowego lub siatkówki wywołują również proste czucia światła. Jeżeli np. wywrzemy palcem lekki ucisk na oko, spostrzegamy kręgi świetlne, uderzywszy się mocniéj w oko widzimy błyski i iskry, a za nagłém zwróceniem oczu połączoném z naciągnięciem nerwu wzrokowego koła

ogniste, a spostrzegamy wszystkie te zjawiska świetlne najwyraźniéj, gdy się znajdujemy w miejscu ciemném, a zatém bez pomocy światła.

Podobnie jak podniety mechaniczne działa prąd elektryczny, przepuszczony przez sąsiednie części oka. Zadrażnienie części mózgu, należących do przyrządu nerwowego w mowie będącego daje również początek czuciu światła, i tak użycie pewnych środków odurzających jak szalej, opium, konopie indyjskie itp. lub rozgrzanie mózgu w silnéj gorączce wywołuje zjawiska świetlne, które przy równoczesném rozdrażnieniu wyobraźni zamieniają się niekiedy w najrozmaitsze widziadła. Wszystkie te wspomniane dotąd zjawiska świetlne, powstające skutkiem bezpośredniego zadrażnienia przyrządu nerwowego bez udziału właściwéj podniety, i z opuszczeniem pośrednictwa samego oka, zowiemy widzeniem podmiotowem w odróżnieniu od widzenia przedmiotowego.

Widzenie podmiotowe, jakeśmy je właśnie poznali, nie pośredniczy bynajmniéj w poznawaniu bytu i własności przedmiotów świata zewnętrznego, co jak wiemy, jest przeznaczeniem zmysłów. Światło, które powstaje w ciemnéj nocy przy tarciu oka i rozlewa się po całém polu widzenia, nie oświeca przedmiotów znajdujących się do koła nas. Nie zasługiwał więc na wiarę człowiek, który napadnięty przed laty rozbójniczo wśród ciemnéj nocy utrzymywał, że poznał napastnika przy świetle, które się rozlało przed nim skutkiem uderzenia oka kamieniem rzuconym, a sąd ówczesny mądrze sobie postąpił, nie dając wiary zeznaniu tego człowieka. Lepiéj jeszcze aniżeli ów oskarzyciel korzystać umiał z widzenia podmiotowego znany baron Münchhausen, który, gdy go w ciemnéj nocy opadły niedźwiedzie, nietylko że oświecał sobie pole walki z niemi światłem, które z własnych oczu wydobywał, ale zapalał nadto iskrami sypiącemi się z oczu proch na panewce i dla tego tylko wreszcie porzucił tę praktykę, ponieważ mu ból oczów sprawiała. Nie zdziwi nas zresztą to opowiadanie dowcipnego barona gdy zważymy, że nie w tym tylko razie zajmował on zupełnie wyjątkowe stanowisko wobec praw przyrody, którym podlegamy zwyczajni śmiertelnicy. Na pytanie, czy pobudzenie jakiego innego przyrządu nerwowego może sprawić czucie światła bez udziału przyrządu nerwowego wzroku, odpowiedzieć należy w sposób przeczący. Może wprawdzie pobudzenie innego nerwu udzielić się temu przyrządowi i wywołać takie czucie, ale bez udziału tego przyrządu obejść się przy tém nie może. Silne np. pobudzenie nerwu słuchowego może, doszedłszy do mózgu udzielić się tym jego częściom, z których wychodzi nerw wzrokowy i sprawić czucie światła, podobnie jak ton przeraźliwy, przykry, np. zgrzyt żelaza po szkle sprawia przykre uczucie w zębach. Takie przenoszenie się podniety z jednego nerwu na drugi odbywa się osobliwie łatwo u osób z nerwami drażliwemi, to też i czucie światła wywołane pobudzeniem innych nerwów wydarza się częściéj u takich osób, aniżeli u zdrowych. Nie można też zatém wątpić o tém, że u tak zwanych jasnowidzących, których nerwy są wstanie niezwykłego rozdrażnienia, powstaje proste czucie światła za lada mniejszą podnietą któregokolwiek innego nerwu zmysłowego. Ale wiedząc, że pobudzenie żadnego innego nerwu nie może samo przez się sprawić nawet prostego czucia światła, a proste czucie światła w jakikolwiek sposób wywołane nie może pośredniczyć w widzeniu przedmiotów zewnętrznych, nie damy też wiary opowiadaniom, że jasnowidzące odczytują listy położone na dołku sercowym, bobyśmy musieli przypuścić, że nerwy czucia, rozpostarte w skórze téj okolicy ciała, pośredniczyć mogą w widzeniu przedmiotów, do czego nie wystarcza przecież nawet ani sama siatkówka, ani sam nerw wzrokowy.

Gdyby bowiem narzędzie wzroku składało się tylko z samego przyrządu nerwowego, jak go poprzednio opisałem, to odróżnialibyśmy wprawdzie światło od ciemności, ale o właściwém widzeniu, o poznawaniu zapomocą wzroku oddzielnego bytu, wielkości, postaci, położenia, ruchu lub spoczynku itp. przedmiotów świata zewnętrznego nie byłoby jeszcze mowy. Gdyby siatkówka była poprostu rozpostarciem nerwu wzrokowego na wolnéj powierzchni naszego ciała, to na każdą jéj cząstkę padałoby równocześnie światło pochodzące od różnych części przedmiotów zewnętrznych; jak zatém pobudzenie pojedyńczych jéj części nie stałoby w bliższym stosunku do pojedyńczych części przedmiotu, tak też i pobudzenie całéj siatkówki nie byłoby w takim stosunku i sprawiałoby tylko proste czucie światła. Ażeby właściwe widzenie było możliwém, na to potrzeba, aby podnieta światła padającego na siatkówkę, była należycie rozdzieloną, umiarkowaną i uporządkowaną; innemi słowy potrzeba, aby pojedyńcze części siatkówki weszły w bliższy stosunek ze światłem pochodzącém od pojedyńczych części przedmiotu; czyli wyrażając się optycznie, potrzeba, aby na siatkówce powstawały obrazy przedmiotów świata zewnętrznego. I tak się też dzieje rzeczywiście. Jak siatkówka z jednéj strony jest rozpostarciem nerwu wzrokowego czułém na podnietę światła, tak z drugiéj strony odgrywa ona rolę płyty w skrzynce fotografa, na któréj, jak wiadomo, rysują się obrazy przedmiotów świata zewnętrznego, z tą jednakże różnicą, że na płycie fotograficznéj, przyrządzonéj należycie zapomocą czynników chemicznych utrwala się obraz skutkiem zmian chemicznych, które tam światło wywołuje; obraz zaś powstający na siatkówce, nie utrwala się, ale sprawia pobudzenie téj błony czułéj na światło, a to pobudzenie udziela się mózgowi zapomocą nerwu wzrokowego.

Ale jakimże sposobem powstają na siatkówce obra-

zy przedmiotów zewnętrznych? Powstają one tam zapomocą narządu optycznego, a tym narządem jest oko. Jakeśmy przyrównali siatkówkę do płyty ciemni optycznéj (camera obscura), na któréj rysują się obrazy przedmiotów zewnętrznych, tak oko całe przyrównać możemy do saméj ciemni optycznéj. Ciemnia optyczna, jakiéj używają także fotografowie, jest to poprostu skrzynka z poczernionemi wewnątrz ścianami. W jednéj ze ścian znajduje się okno, w które wprawione jest szkło wypukłe czyli soczewka skupiająca światło; na drugiéj, przeciwległéj ścianie rysują się obrazy przedmiotów zewnętrznych, utworzone przez soczewkę. Z taką to ciemnią optyczną okazuje oko największe podobieństwo. Wyobraźmy sobie, że skrzynka ciemni optycznéj ma postać kuli albo bani, że miejsce drewnianych jéj ścian zastępuje błona organiczna, a w okienko zamiast szkła wprawiona jest błona przezroczysta, któréj skutek światło łamiący wzmacnia jeszcze jedna soczewka za nią położona, wyobraźmy sobie, że miejsce czerni dla wewnętrznéj powierzchni skrzynki zastępuje błona ciemno zabarwiona, a miejsce płyty siatkówka, a będziemy mieli przynajmniéj ogólny pogląd na budowę oka. Przypatrzmyż się teraz szczegółowo budowie oka. Całe oko ma postać kuli, któréj średnica wynosi 10—11''', a więc niespełna jeden cal. Oko nie przedstawia nam się jednak zazwyczaj jako kula, pochodzi to ztąd, że nie leży ono wolno na powierzchni ciała, lecz, jakby jajko w gniazdku, w jamie głowy, zwanéj oczodołem, tak, iż tylko przodkową jego połowę moglibyśmy widzieć, ale i téj nie widzimy całéj, gdyż znaczną jéj część pokrywają powieki. Oko składa się z trzech błon i z części płynnych i na pół stałych. Te trzy błony ułożone są współśrodkowo jak pojedyncze błaszki cebuli i ograniczają kulisty przestwór, który wypełniają właśnie części płynne i na pół stałe, o których wspomniałem. Pierwsza z tych błon, która powłóczy oko od zewnątrz, jest to tak zwana twardówka, ma ona barwę białą i tęgie twarde utkanie. Ona to nadaje oku formę i podstawę. Patrząc w czyje oko, nie widzimy całéj téj błony, ale tylko część jéj przodkowéj połowy nie pokrytą przez powieki. Część ta uchodzi w codziennem życiu pod nazwą białka oka. Twardówka nie powłóczy całéj powierzchni oka, lecz okazuje ku przodowi zwrócony okrągły otwór, odpowiadający okienku w ciemni optycznéj. W to okienko wprawiona jest rogówka, zastępująca szkło wypukłe w ciemni optycznéj. Jest to błona wypukła, tak przezroczysta, jak najczyściejsza woda lub szkło, a tak gładka, jak najlepiéj wypolerowane zwierciadło. Rogówka jest niejako okienkiem, przez które wpada do wnętrza oka światło, pochodzące od przedmiotów zewnętrznych, a mające utworzyć ich obrazy na siatkówce.

Jak nie widzimy przedmiotów patrząc na ulicę przez okno z szybami mlecznemi, tak też i wzrok może być mniéj-więcéj upośledzony, a nawet zupełnie zniszczony, jeżeli rogówka straci swoją przezroczystość, a stanie się podobną do szkła mlecznego. Zdarza się to dość często, jeżeli skutkiem skaleczenia lub zapalenia powstaną plamy rogówki lub tak zwane bielmo. Rogówkę i twardówkę uważać możemy za części jednéj błony, powłóczącéj oko od zewnątrz.

Drugą błoną, zastępującą czernidło w ciemni optycznéj, jest tak zwana naczyniówka, dla tego zaś tak zwana, ponieważ się składa przeważnie z naczyń krwionośnych, w których krąży krew przeznaczona do odżywiania oka. Prócz tego zawiera ona wielką ilość czarnego barwika. Skutkiem tego jest naczyniówka nieprzezroczysta i zapobiega dostawaniu się światła do oka przez twardówkę, tak, iż wnętrze oka jest ciemne, a obrazy utworzone na siatkówce przez światło wpadające przez rogówkę, zyskują na jasności i wyraźności. Brak tego barwika u tak zwanych bielaków czyli Albinosów, jest przyczyną niedokładności wzroku. Naczyniówka powleka wewnętrzną powierzchnię twardówki, doszedłszy zaś do przodkowéj jéj granicy, czyli do brzegu rogówki, zmienia swój kierunek, zwraca się i tworzy rodzaj przegródki przedzielającéj przestwór oka. Tę część naczyniówki nazywamy tęczówką. Tęczówka tworzy okrągłą tarczę; w środku téj tarczy jest okrągły, czarny otwór, jest to źrenica, w codziennem życiu zwana także lalką lub człowieczkiem. Ponieważ tęczówka leży za przeźroczystą rogówką, widać ją więc w każdém oku bardzo dokładnie. Jéj to zawdzięczają oczy różną barwę: niebieską, siwą, piwną, lub czarną. Barwa tęczówki zaś zawisła od ilości znachodzącego się w niéj ciemnego barwika. Tak samo zawdzięczają też i włosy jaśniejszą lub ciemniejszą barwę mniejszéj lub większéj ilości nagromadzonego w niéj barwika. Osoby, których włosy wiele mają barwika, mają go też zazwyczaj wielką ilość w tęczówce i ztąd też pochodzi, że u osób z ciemnemi włosami bywają zazwyczaj i oczy ciemne; u blondynów zaś zazwyczaj jasne, siwe lub niebieskie. Niebieska barwa oczu nie jest więc skutkiem nagromadzenia niebieskiego barwika w tęczówce. Barwik jest w każdéj tęczówce czarny, ale w jednych znachodzi on się tylko na tylnéj powierzchni, w innych nagromadzony jest nadto i w saméj tkaninie tęczówki w mniejszéj lub większéj ilości. Tęczówki, zawierające prócz pokładu na tylnéj powierzchni jeszcze i w swoim miąższu barwik, mają ciemne, piwne, cisawe lub czarne zabarwienie. Niebieska wydaje się zaś tęczówka, jeżeli jéj tkanina jest bardzo delikatną, mocno przeświecającą i wolną od barwika. Przeświecanie czarnego barwika, powlekającego tylną powierzchnię tęczówki, przez jéj tkaninę sprawuje niebieskie zabarwienie tęczówki. Błękitna barwa tęczówki powstaje więc w ten sam sposób jak błękitne zabarwienie sklepienia niebieskiego, nie można więc odno-

wić pewnéj słuszności poetom, przyrównywującym błękit oczu swych ideałów do błękitu nieba

Jak rogówkę przyrównaliśmy do okna, tak tęczówkę przyrównać możemy do firanki, bo przeznaczeniem jéj jest istotnie miarkować ilość światła wpadającego do oka. Tęczówka jest nieprzeźroczystą, ze światła więc, które wpadło przez rogówkę dostaje się do siatkówki tylko tyle, ile go przepuści źrenica. Trzeba zaś wiedzieć, że źrenica nie ma stałéj danéj wielkości, lecz się zwęża, gdy się znajdujemy w miejscu mocno oświetlonėm a rozszerza w ciemniejszém. Takie urządzenie zapobiega wpadaniu zbyt wielkiéj ilości światła do wnętrza oka, przyczynia się do dokładniejszego widzenia i chroni zarazem siatkówkę od szkodliwego wpływu, jakiby nadmiar światła wywrzeć mógł na nią. Wiadomo powszechnie, że wszedłszy w jasny dzień do pokoju zaciemnionego, nie widzimy zrazu prawie nic, ale zabawiwszy przez chwilę, zaczynamy bardzo dobrze poznawać znajdujące się w pokoju przedmioty. Zjawisko to jest poczęści skutkiem opisanego urządzenia. Wchodząc do pokoju, mamy źrenice wązkie, bo na ulicy biło nam w oczy mocne światło i potrzeba dopiero niejakiego czasu, abyśmy się rozpatrzyli, tj. aby źrenice tak się rozszerzyły, żeby przez nie wpadać mogła dostateczna do widzenia ilość światła.

(Ciąg dal. n.)

OBRAZY I OBRAZKI
z tatrzańskiéj wycieczki.
(CZĘŚĆ DRUGA.)

I.

Późno w nocy wracałem do domu. Księżyc już zaszedł za Orawskie pagóry — słabe światełka iskrzących się gwiazd ledwie trochę rozjaśniały ciemności: totéż z obawą wstąpiłem na kładkę bez poręczy i ostrożnie po niéj się posuwałem, by nie stracić równowagi i nie wpaść w ciemną toń wody, co szumiała podemną. Już byłem u drugiego brzegu, gdy w krzakach, otaczających gaik brzozowy, usłyszałem jakieś stłumione głosy, jakby dwojga ludzi rozmawiających dość żywo. Szelest, jaki sprawiłem przechodząc ścieżką przez zarośle, przerwał rozmowę, — jakiś cień człowieka rosłego, barczystego przesunął się tuż koło mnie i poleciał ku rzece. Przestraszony przyspieszyłem kroku, by zdążyć do domu — przedemną ktoś równie szybko przedzierał się przez zarośle. Drzwi domu zastałem zaparte — obszedłem więc na około, by zapukać do okna. Przechodząc koło stodoły, ujrzałem jakąś kobietę, która skulona usiłowala w cieniu ukryć się przedemną.

— Kto tu? spytałem i postąpiłem ku niéj.

— To ja?

— Franka?

— Tak panie.

Zbliżyłem się ku niéj, była czegoś mocno zmięszaną, oddech jéj był głośny i prędki, widocznie ze zmęczenia i pośpiechu.

— To tyś była w zaroślach nad rzeką?

Wahała się chwilkę z odpowiedzią — potem rzekła zuchwale:

— No ja — albo co?

— A ten człowiek, co z tobą rozmawiał?

Zasłoniła się chustką przedemną i odpowiedziała:

— To mój....

— To jakiś zły człowiek. Widziałem u niego broń za pasem.

— O! to zaś nieprawda. On nie miał ni jakiéj *ciupagi*. A choćby i miał, to czy mi to nie wolno kochać, kogo ja chcę.

— Franka, Franka, nie podobasz mi się; ludzie źle o tobie mówią.

Odwróciła się odemnie, nic nie odpowiedziawszy — uchyliła skrzypiące wrota stodoły i znikła.

To zagadkowe postępowanie Franki, jéj tajemnicze schadzki z jakiemiś nieznanymi ludźmi, zaczęły mi się niepodobać i obudziły podejrzenia; które przy odległości mego mieszkania od wsi, zaniepokoiły mnie nieco.

Trzeba będzie wynieść się ztąd co prędzéj bliżéj kościoła i ludzi — pomyślałem sobie i zapukałem w okno. Zaspana twarz Tereski zabieliła się za brudnemi szybami.

— To ja, ja — odezwałem się.

Za chwilę błysnęło światło w izbie, warknęła zapora we drzwiach. Przestąpiłem wysoki próg i już miałem iść do siebie, gdy w izbie u Tereski usłyszałem stłumione jęczenie.

— Któż tak jęczy? spytałem.

— Je, to moja Kaśka. *Obcchtała* się psiapara jakiegoś paskudnego zielska i teraz *jajcy* (jęczy).

Kasia była to najstarsza córeczka Tereski, dziewczątko miała koło pięciu lat, było zawsze bardzo ciche i spokojne. Zwykle dźwigała najmłodszego braciszka, nucąc mu przy tem różne pieśni do snu, lub chodziła z babinką za gęsiami koło domu. Nieraz, kiedym siedział przed domem, Kasia z za węgła wychylała blondynową główkę przypatrując się ciekawie gdym ją zawołał, przychodziła zaraz i obejmując za szyję, tuliła się do mnie, co znaczyło u niéj: „ukochać pana“. Lubiłem to ciche i potulne dziewczątko, i nazywałem je: „przylepką“. Poszedłem więc skwapliwie zobaczyć, co jéj jest. Wśród ciemno-szafirowych pierzynek leżała twarzyczka jéj drobna, zarumieniona silną gorączką, oczy iskrzyły się i były trochę nieprzytomne. Gdym się ku niéj nachylił, wyciągnęła rączki i

uczepiła się niemi szyi mojéj. Musiałem ją wziąść na kolana — otuliłem w szal. Położyła główkę na mych piersiach i po cichu jęczała.

— Cóż cię boli? spytałem.

— O! boli! boli!...

— Ale co? głowa?

— Haj! (tak).

Przyłożyłem rękę na jéj czółko — było mocno rozpalone. Widocznie struła się czémś niestrawném.

— I nic jéj nie radzisz na to Tereska?

— Je, a co byk (bym) radziła? Dałam jéj grul (ziemniaków) bezmała pół garnka, omaściłam uczciwie skisłém mlekiem. I cóż będę więcéj robiła?

— A doktora nie ma tutaj u was?

— Je, a to po co, żeby na leki po daremności krajcary wyciągał z kieszeni? Tak człekowi umrzeć z doktorem, jak i bez doktora.

Nie zdziwiła mnie ta mowa góralki, znałem już trochę pod tym względem górali. Znana ich oszczędność potęguje się aż do skąpstwa tam, gdzie idzie o poratowanie zdrowia. Czy to wynika z małéj wiary w medycynę, czy z lekceważenia swego mizernego życia — nie wiem; to jednak pewna, że o ile księża w górach mają stosunkowo znaczne dochody od swych parafian, o tyle aptekarz i doktór bardzo mało na lud wiejski liczyć mogą. Nigdy mi nie wyjdzie z pamięci scena, jakiéj byłem raz świadkiem przed apteką w Nowym-targu. Jakiś góral zjadłszy trochę złych jagód w lesie, rozchorował się mocno. Gdy boleści targać poczęły jego wnętrzności, zdecydował się iść do doktora po radę. Z receptą w ręku przywlókł się potem do apteki.

— Za pół godziny będzie gotowe — rzekł aptekarz stereotypową formułką.

— Je, to człek za ten czas skonać może.

— To może być zaraz.

— A kielaż to będzie kosztować?

— Cwancygera.

— To ja nie pytam (nie chcę) tego.

W téj chwili skrzywił się okropnie, usiadł na ziemi, zwił się w boleściach w kłębek prawie.

— Dajcie za półcwancygera. Albo nie — czekajcie, jakoś mi lepiéj. Nie dawajcie jeszcze; może to samo przejdzie.

Wyszedł przed aptekę i położył się w cieniu drzewka jęcząc i stękając.

— Dajżeż mu pan za darmo. To jakiś biedak, może nie ma na to, rzekłem do aptekarza.

— To jeden z majętniejszych gazdów szaflarskich. Nie znasz pan górali, oni wszyscy tacy. Gdyby z nich żyć przyszło, aptekarz musiałby z torbami chodzić.

Pół dnia leżał tak góral opodal apteki, decydując się w ostatecznym i najgorszym razie poświęcić cwancygera na swoje zdrowie. Silna jednak natura zastąpiła lekarstwo; koło wieczora podniósł się zdrowszy, i ocalony cwancyger poniósł do proboszcza na Mszę Świętą. Ksiądz z wiatykiem, to jedyna ulga, jaką krewni niosą choremu. Doktór służy tu najczęściéj tylko do wydania świadectwa śmierci; przy chorym zastępują go kumoszki i sąsiady, z których każda zachwala swoje leki. A lekami temi są: zażegnywania, niektóre zioła, sperka, kwas kapuściany, a wreszcie suto omaszczone jedzenie. Tego ostatniego lekarstwa użyła właśnie Tereska dla swojéj córki.

Jakkolwiek nie znam się wcale na medycynie, jednak wiedząc, że powód choroby dziecka idzie z żołądka, domyśliłem się, że herbata będzie najskuteczniejszą na razie; kazałem więc naniecić ogień i nastawić wody.

Przylepeczka boso, w zgrzebnéj koszulce, z koralikami na szyjce, przytuliła się do mnie i bawiąc się łańcuszkiem od zegarka, dużemi, modremi oczkami wpatrywała się sztywnie w ognisko. Gładziłem ją po rozplecionych włoskach i dla uspokojenia jej opowiapałem ciekawe historyjki, jak piastunka jaka. Podałem jéj potem herbaty, a że to rzecz słodka, więc i matka i dwoje innych dzieci napierały się tego lekarstwa. Po herbacie dziewczątko moje uspokoiło się trochę, pochyliło główkę na ramię i usnęło. Zaniosłem je cicho i ostrożnie do łóżka — a sam poszedłem na drugą stronę do siebie.

Ujrzawszy się sam w izbie, któréj ciemne ściany i zakąty nie dość wyraźnie oświecała stearynowa świeczka, przypomniałem sobie znowu Frankę; jakieś ciemne, dziwaczne myśli zasłoniły mi tę cichą, familijną scenę, ogorzana i oświeconą, którą niedawno miałem przed oczyma. Niespokojnie obejrzałem się w około — i nie chętnie gasiłem świecę kładąc się do łóżka. Dawno zapomniane, zagrzebane w niepamięci smutne wypadki, jakich te miejsca były świadkami, cisnęły mi się do głowy. Przypomniałem sobie samobójczą śmierć owéj dziewczyny, któréj opustoszała chata do dziś dnia stoi jak straszydło za stodołą Tereski. Zdawało mi się, że ją widzę, jak po odejściu kochanka opiera nogę na cenglu karabina i wkłada lufę do ust. To znowu uparcie nasuwał mi się na myśl trup kobiety powieszonéj przez męża, który parę lat temu widziałem przez to samo okienko kołyszący się na brzózce nad rzeką. Przypomnienia te ponuro nastroiły moją wyobraźnię. Wtem za piecem coś się ruszyło, coś zaszeleściało. Zaparłem dech w sobie nasłuchując. Ktoś po cichu i ostrożnie zsunął się z pieca na ławę, która dotykała do mego łóżka — i widocznie zbliżał się ku mnie. Począłem macać koło siebie rękami, chcąc znaleść przynajmniéj scyzoryk lub coś podobnego do obrony — namacałem tylko zapałki. — Wtem coś trąciło o lichtarz stojący tuż obok mnie.

— Kto tu? — zawołałem na pół groźnie, na pół

z przestrachem — i w téj chwili potarłem zapałkę — światło błysło i zobaczyłem dużego, białego kota, który przestraszony moim krzykiem przycupnął i trwożliwie patrzał się na mnie. (Ciąg d. nast.)

Odczyty publiczne w Krakowie.

Liczniéj niż zwykle zgromadziła się publiczność na odczyt Wincentego Pola. Nie był to odczyt, ale rzewne, uroczyste powitanie śpiewaka, który na jakiś czas zawitał do nas. Pamiętamy kilka lat temu dłuższy pobyt jego w Krakowie, i poetyczną ustroń na przedmieściu; były to świetne czasy Mohorta, Stwosza. Dziś jakież zmiany! Stanął przed nami ociemniały starzec jak gęślarz serbski — z rapsodem; rzewny to i wzruszający był widok, tém smutniejszy, gdy się pomyślało, że to jeden z ostatnich z licznego niegdyś zastępu mistrzów. Za nim jeszcze Lenartowicz od czasu do czasu wiejską pokręca lirę — a po za tymi już nic, nic — tylko blade plejady piszących wiersze, z których żaden w stałą gwiazdę rozżarzyć się nie może na poetycznem niebie. Szaro na tém niebie i bezbarwnie. Gwieździsta noc poetów już zaszła — a świty nauk i umiejętności jeszcze bez słonecznych promieni. — W takiéj chwili pieśń ukochanego śpiewaka jakkolwiek nie błyszcząca już dawną świetnością, była upragnioną dla nas. — Rapsod opiewający wyprawę wiedeńską Jana III. — (znany juz publiczności lwowskiéj), poprzedził poeta Pieśnią Januszową:

Śpiewak wita wasze strony;
Niechaj będzie pochwalony!
Cóż w Krakowie? — co?
Gdy przed wami znowu staję,
To się sercu prawie zdaje,
Że przeszło lat sto.!

Hej mogiły, skały, zdroje,
Stepy, orły, dęby moje,
Cóż tu o tém rzec?
Kiedyś sprawa szła nam z gracka,
Cóż gdy dzisiaj już z omacka
Przychodzi się wlec!

Kto na ziemi siadł, nie spadnie —
To i dzisiaj pójdzie ładnie
To, co pójść nam ma;
Kiedy serce takie same,
To i witam wchodząc w bramę
I niech lira gra!

Niechaj zagra zdawna snutą
Januszową starą nutą:
Witam, witam was!
Kto tam może, niech grzmi w rymie,
Ja was w Boże witam imie,
Witam w Boży czas!

Cóż wam powiem?... cóż powiedzieć?...
Darmoż milczkiem tutaj siedzieć,
Kiedym jeszcze żyw.
Ktoś tam spyta: jeszcze śpiewa?
Jużci śpiewa, kiedy bywa,
I wszak to nie dziw!

Co ukocha serce z młodu,
Z tém i kończyć wśród narodu
Pono trzeba nam;
Więc na nutę tutaj starą,
Z dawném sercem, z dawną wiarą
Zaśpiewam ja wam.

Pieśń ostatnia Januszowa
Niech w Krakowie się przechowa,
Zkąd i pierwsza szła.
Gdy chowacie, coście mieli,
Niech was strzegą tu Anieli,
A lira niech gra!

Coś powiedzieć tu się godzi
I o starych i o młodzi,
I coś z dawnych lat, —
Coś o złotéj sławie laszéj
I o staréj szkole naszéj,
Bom wszystkiemu brat.

A więc podam rapsod stary,
Co przypadnie wam do miary
Dziś tak bardzo już,
Jakby sercem był wysnuty
Z dziś żyjącéj dziejów nuty
I z tych polskich dusz.

Daléj, daléj więc z rapsodem,
Z starą szkołą i z narodem
Pójdziem tutaj wraz, —
Bo gdy schodzim się w Krakowie,
Niech świat jeszcze sobie powie,
Że stać na pieśń nas.

Jak stać jeszcze na ofiary
I obronę staréj wiary
Chociaż ciśnie czas.
Lecz uwierzcie tylko temu,
Że opędzim się znów złemu —
Tém pozdrawiam was.

Jest w miłości i w ofierze
To, co trzyma i co bierze
Cały polski ród —
I duch stoi na wyłomie,
Co i w walce i w pogromie
Podjął dziejów trud.

W zeszłorocznym odczycie przedstawił p. Langie dzieje dobroczynności rządowéj, „po ukazie“; — obecnie przedstawił nam dzieła dobroczynności właściwéj, tj. prywatnéj, téj, która z serca pochodzi. Z całego obrazu przebijała ta sama myśl, którąśmy się kierowali w artykułach p. t. „Dwory i chaty“, tojest wykazanie, ile to dokonać jest wstanie dobra wola i poświęcenie pojedyńczych ludzi, własną jedynie wytrwałością. My jednak obliczając się z dzisiejszém zobojętniałém społeczeństwem uszykowaliśmy szereg takich jedynie obowiązków, które lubo ani ofiar, ani trudów, ani kosztów nie wymagają, a jednak wcale dopełniane nie są. P. Langie zaś przedstawił nam wzory wielkie cnót i poświęceń, które na cześć świętości zasłużyły. A więc na czele postawił Ś. Wincentego à Paulo, który przez sześćdziesiąt lat apostolskiéj pracy, zarówno wielki sercem jak i talentem organizacyjnym, zaopatrzył ojczyznę swoją Francją w niepożyte dzieła ludzkości i miłości bliżniego: ochrony, domy przytulków, szpitale, szkółki a wreszcie domy przytułku i pracy. „Zkądże mu odwaga? dźwignął krzyż: — z kimże mu przymierze? — niewiastę wiedzie“. Jego to dziełem są Siostry Miłosierdzia. Nie chciał on je mieć zakonnicami, owszem chciał, ażeby w niczém się nie różniły od innych niewiast, prócz poświęceniem; klasztorem ich, mieszkanie chorego — krużgankami, ulice miasta — zakonem, miłosierdzie — kratą, bojaźń Boża — zasłoną, skromność! — Sz. Prelegent oddając należny hołd potędze kobiecego serca i wytrwałości, przytoczył, że missjonarze Ś. Wincentego nie wytrwali — zaś Siostry Miłosierdzia wytrwały, a Polki na ich czele.

Wspomniawszy o zakładaah dobroczynnych wznoszonych u nas przez takich mężów jak Skarga, Trzebicki, Baudouin itd., przeszedł Sz. Prel. do dzisiejszych czasów. Na 36,000 Sióstr Miłosierdzia po całym świecie, jest Polek 11,000 — trzecia część! Oto jest posiew miłości. W ostatnich wojnach wschodniéj, włoskiéj i niemieckiéj, szły one za wojskami według woli patrona swego: „oni zabijają, wy ratujcie“. W Krymie umarła podczas kampanii, ulegając trudom, siostra Marynowska, dawniéj przełożona Siόstr we Lwowie. Wojsko francuskie pochowało ją z niezwykłą czcią, a jenerał dając znak na salwy z dział, zawołał nad grobem: oto bohaterka! i oddano cześć jéj pamięci pochyleniem sztandarów. — Siostrze Miłosierdzia Elżbiecie Neitingel postawił naród angielski pomnik za życia, a kiedy szło o urządzanie szpitalów na czas wojny, zaproszono ją do zasiadania w radzie ministrów.

Przytoczył też Sz. Prel. nieznane jeszcze stowarzyszenie X. Leszczyńskiego, proboszcza w Wielowsi w Galicyi Ubożąc się dobrowolnie czcigodny ten kapłan całą znaczną ojcowiznę i wszystkie dochody poświęca od lat pięciu na urządzenie zakładu swego pomysłu. Stanął tam już gmach wielki na szpital -dla chorych i na szkołę dla dzieci, a Siostry jeżdżąc po okolicznych wsiach, uczą po chatach dziatwę wieśniaczą, a pielęgnując chorych, upominają próżniaków. W ostatniéj powodzi podziwiano tam na Powiślu ich gorliwość i odwagę.

Missjonarze świeccy odżyli w Niemczech, w Ameryce i w Anglii. W jednéj z dzielnic Londynu najwięcéj zaludnionéj zaniedbaném ubóstwem, było niedawno 10,000 takich świeckich missjonarzy zajętych wyłącznie nauczaniem ubogich dzieci. Liczą w ich poczet biskupów i wyrobników, ministrów i rzemieślników, lordów i studentów.

Sz. Prel. obliczył się następnie z wymaganiami nauki ekonomii politycznéj, która dąży do ogólnego dobrobytu. Mówiąc o dobroczynności przezornéj, w któréj popęd serca daje się powodować doświadczeniu nauki, podniósł dobroczynną potęgę saméjże nauki, oświaty, która zachęca i naucza pracować, a przez pracę wytępia nędzę i niemoralność. Zastanowił się nad urządzonym w Krakowie domym przytułku i pracy, wykazał liczbami ciemnotę jaka w mieście naszém panuje pomiędzy pracownikami w rzemiosłach, bo na 954 — nie umie 303 ani czytać, ani pisać!, — a są to zastępy, które mają dźwignąć przemysł krajowy! — Wobec tak upokarzającego stanu. odezwał się Sz. Prel. do młodzieży akademickiéj, a wezwanie było takie, iż zasługuje, aby się rozeszło po całéj Polsce: „Na uniwersytecie w Krakowie jest was bracia 350! gdyby każdy z was w ciągu roku jednego z tych zaniedbanych chłopczyków wyuczył czytać i pisać i czterech działań rachunkowych! Z doświadczenia wiem, że co radzę, jest możebném!“

Słusznie nazwał Sz. Prel. pracę taką ludzką tylko, nie polityczną. Ale rozszerzmy tę myśl, zastosujmy ją po miastach i wsiach, niechaj panie i panny podejmą taką pracę także i co do dziewcząt, rosnących w opuszczeniu i ciemnocie, a zobaczylibyśmy, do jakiéj to potęgi wzmógłby się wkrótce narodowy duch, o ile to tysięcy serc rozszerzyłyby się granice ojczyzny naszéj! Przyjdzie nam jeszcze nieraz przytoczyć myśli poruszone w tym wymownym odczycie, dziś przestajemy na tém szczupłém streszczeniu.

Odczyt Dr. Rydla podajemy prawie w całości w rubryce „z przyrody“, a następnie podamy obszerniejsze wyjątki z odczytu Dr. Oettingera o obłędach pospolitych.

Szereg odczytów zakończył p. Łepkowski. Wprowadzając płeć piękną, stanowiącą przeważną część słuchaczów, w ciemnice pogańskich grobów, między stare odkopaliska, urozmaicił i ożywił tę archeologiczną wędrówkę opowiadaniem żywém, pełném alluzyj, porównań i humoru. Rozpocząwszy od najstarszych budowli palowych, przeszedł następnie w epokę, z której dochowały się nam zabytki kamienne (narzędzia itp.). Wspomniał o epoce bronzów i żelaza, oczyszczając mimochodem przybytek archeologiczny z wielu błędów, jakie fantazja i fałszywy domysł potworzyły. I tak np. wykazał, że owe za łzawnice miane naczynia nie zawierają łez, ale wodę świętych źródeł, boć śmieszności ąby było, żeby przodkowie nasi w chwilach bolesnéj straty ukochanych osób mogli robić podobną operację z łzami i podstawiać te naczyńka do ich zbierania. Również przekonał wymownie, że owe metalowe obręcze uważane za ozdoby głowy i rąk, miały raczéj pieniężną wartość niż galanteryjną; sama ich ciężkość zbyteczna przemawia za tém. Nie zamilczał także pan Ł. o nowszych odkryciach poczynionych we Francyi, które rujnują nieco dotychczasowe pojęcia i systemata archeologiczne. Rozumie się, że w tak krótkim przeciągu czasu wykład musiał być pospieszny, zlekka tylko dotykający rzeczy, dlatego jednak objął pan Ł. całość przedmiotu, aby ogół publiczności zainteresować dla téj umiejętności, tak mało u nas uprawianéj, a do tego tak nieumiejętnie. U nas archeologiją brano dotychczas przeważnie ze strony uczuciowéj, co nietylko nie wystarcza, ale nawet w śmieszność wyrodzić się może. Starożytne wykopaliska nasze nie są wcale dziełami sztuki, któreby podziwiać można; — unosić się więc nad lada skorupą dla tego, że stara, podczas gdy na tyle nowszych rzeczy obojętnie patrzymy, byłoby nawet śmiesznością, którą uczucie narodowe potrochu tylko usprawiedliwiać może. — Innéj ta rzecz nabiera wagi, skoro na nią spojrzymy ze stanowiska umiejętnego. Oto te groby, odkopaliska przy pomocy map archeologicznych pokazać nam mogą, jaką drogą odbywały się u nas wędrówki szczepów, jaką drogą i zkąd szła do nas cywilizacja, którędy handlowe szły gościńce itd. — To jest dopiero właściwe zadanie i cel archeologii.

TEATR. — Jakże panu się „Egmont“ — co? Bo mnie przyznam się panu nie bardzo tego... — tak się odezwał jakiś jegomość wychodzący z krzeseł do swego znajomego.

— Mogliby sobie dać pokój z takiemi rzeczami — rzekł inny.

— Proszę pana — zagadnął mnie jeden — jest to niby podobno arcydzieło, bo to zawsze co Szyller, to Szyller (sic), ale djabelnie nudne. Prawda?

— Ach, ale się też wynudziłam, wynudziłam za wszystkie czasy — powiedziała jakaś blondynka z loży, zasłaniając rączką usta, otwierające się do ziewania.

Idąc za temi pochwytanemi mimochodem zdaniami naszéj publiczności, możnaby Egmonta uważać za jakąś lichotę, którą należałoby na zawsze wykreślić z repertoarza teatralnego. Egmont Goetego nie zaimponował nam, witany burzą oklasków po stolicach Europy, nie miał szczęścia podobać się w Krakowie. Jestże to wina przedstawienia, czy dramatu samego, czy publiczności? Najgrzeczniéj, a może i najsprawiedliwiéj postąpimy dzieląc winę między te trzy kategorje. A najprzód przyznać trzeba, że Egmont jest za mało dramatyczny; skąpa treść sztuki posuwa się naprzód więcej djalogami niż akcją, sceny ludowe stojące na tym samym prawie planie, co i sceny głównych figur, nie służą im za tło, ale raczéj rozrywają je; jedyną kolizją stanowi tu krótka chwila, w któréj swobodny, liberalny umysł Egmont uderza o twardą pierś despotyzmu i wstrząsa się na wieść o zbliżającym się Albie, a owa straszna groza, jaka wieje od milczących wójsk Alby, ściskających w coraz węższe żelazne pierścienie wolność Niederlandów; owa tak głęboko tragiczna sytuacja słabnie i traci na sile wśród długich i nużących rozmów.

Ale z drugiéj strony te rozmowy ludu, Egmonta z księciem Oranni, Egmonta z Albą — to jakby żywcem wyjęte z naszych obecnych stosunków, jakby allegorja dzisiejszych czasów; to więc co gdzieindziéj i kiedyindziéj nużyćby mogło, u nas zdawałoby się, że budzić będzie ogromne zajęcie i entuzjazm. Lud Niederlandzki woła o konstytucją, o szanowanie praw narodowych, o namiestnika rodaka; pod temi warunkami chce stać wiernie przy hiszpańskim tronie; wszystkie odcienia stronnictw, jakie niedawno temu zarysowały się u nas wybitnie na tle wypadków, występują tutaj na scenie widocznie, począwszy od najskrajniejszych tak zwanych wichrzycieli — aż do umiarkowanéj lojalności Egmonta. — I publika nasza przysłuchiwała się temu wszystkiemu z założonemi rękami, które jedynie podnosiła do zakrycia szeroko ziewających ust. Tego doprawdy nie można zrozumieć. Jestże to ospałość i lenistwo ducha, jestże to brak odwagi cywilnéj wyrażenia oklaskiem swych przekonań lub niezrozumienia rzeczy? Pamiętamy czasy, gdy krakowiak lub mazur usłyszany w teatrze, huczne wywoływał oklaski. Miałżeby się na tych demonstracyjkach wyczerpać cały zasób zapału? A prawda — przepraszam, ubliżyłbym publiczności mówiąc, że się ciągle obojętnie zachowała. Był od tego wyjątek w akcie IV. w chwili, gdy Alba pojawił się na scenie. Albę grał p. Rapacki — a że nie dość silnie krzyczał, by zahuczeć zakatarzonych i kaszlących tego wieczora, kilkanaście głosów odezwało się: „głośniéj, głośniéj“. Nie mówię już o poszanowaniu artysty, który przez ogromną pracę i talent stał się ozdobą naszéj sceny i wart szacunku — ale przynajmniéj o poszanowaniu sztuki, roli. Czyż można przypuścić, że ten człowiek rozumie i czuje sztukę, co na Albę przed ktorym drżą Niderlandy całe, ośmiela się wołać, aby głos podniósł? Jeżelibyśmy przyjęli, że każdemu wolno upominać się za swoje pieniądze, w takim razie musielibyśmy również przystać na inne wykrzyki, jak np.: prościéj, ładniéj, skromniéj, wyżéj itd. Do czego podobna licencja by nas doprowadziła, niech każdy sam osądzi. Dla kilku nie dość dobrze dosłyszanych wyrazów burzyć sobie złudzenie, w jakie wprowadza gra artysty — to wcale nie dowodzi dobrego, ani nawet miernego smaku i wykształcenia artystycznego. Jak również nie dowodzą tego wywoływania artystów wśród sztuki. — Oto Ofelja w Hamlecie obłąkana wybiega na scenę — a brat jéj już otwiera usta do rozpacznego krzyku, podnosi ręce; gdy wtem publiczność każe mu wstrzymać się z rozpaczą i oklaskami, przywołuje Ofelją do zmysłów i do ukłonów. — Czyż nie właściwsza pora na te oklaski, wywoływania, a nawet bukiety — po spuszczeniu kurtyny? Chyba, że publiczność nie dowierza sobie, czy do tego czasu nie ostygnie jéj zapał, czy nie zapomni o dobréj grze artysty lub artystki.

Jeżeli pan Rapacki zniżył głos, uczynił jedynie zadość wymaganiom roli. Przed Albą drżą wszyscy, głos im w piersiach zamiera. Czyż więc potrzeba, aby człowiek, którego ciche słowo, a nawet gest milczący wystarcza do rzucenia postrachu, krzyczał i rzucał się? Jest to wychowaniec Śtéj Inkwizycyi zimny, groźny,

milczący, umiejący panować nad sobą i nad drugimi. Tak pojął go p. Rapacki, i o ile nam się zdaje, pojął go najwłaściwiéj. — W drugiém jednak przedstawieniu odstąpił nieco od tego pojęcia i wlał w swoją rolę więcéj życia, ruchliwości, gwałtowności, a ustępstwo to jak mniemamy, uczynił na rzecz sztuki, chciał mdły i powolny ruch jéj ożywić i zelektryzować. Gdyby akcja szła żywo, pospiesznie — zimna postać Alby z słowami kapiącemi zwolna, jak roztopiony ołów groźnieby odbijała; ale że dramat mało jest dramatycznym, więc i Alba nie mógł być Albą — Nie ganimy zbytnie panu R. tego ustępstwa, zrobić mu jednak musimy jednę małą uwagę, nie co do gry, ale co do wymowy; uwagę, która więcéj jeszcze stosuje się do pana Wolskiego. W gwałtowniejszych scenach, podczas silniejszego podniesienia głosu p. R zbytnie przeciąga ostatnią zgłoskę i wiąże ją z następném słowem, niby kopułą. Podobna wada jedynie w Shyloku była znośną i na swojém miejscu. Jakkolwiek to nie często się zdarza, uważamy jednak za obowiązek zwrócić na to uwagę artysty. Co zaś do pana W. ten siląc się na zbyt wyrazistą i dobitną wymowę, zdaje się przyjął za zasadę przeciągać nadzwyczajnie prze ostatnią zgłoskę, co mowę jego robi monotonną i rozwlekłą.

A teraz o Klarci.

Zarzucano Getemu, że odstąpił od rzeczywistości, robiąc Egmonta nieżonatym młodzianem. Lewes, biograf jego, broni go z tego zarzutu słowami: „w takim razie nie mielibyśmy Klarci“ — a my dodać musimy, że wtedy nie widzielibyśmy pani Modrzejewskiéj w téj roli, jednéj z najwdzięczniejszych. Piękną była gra p. M. w chwili, gdy rozpala lud do buntu, rozrzewniającą w chwili otrucia się, ale najwdzięczniejszą wtedy, gdy z naiwnością ubogiéj mieszczanki podziwia bogaty ubiór Egmonta — a publiczność podziwia jéj grę.

Pozostaje nam jeszcze Egmont, Brachenburg i krawiec.

Egmont nie wiele zostawiał do życzenia. Nie była to wprawdzie figura pierwszorzędna, jak ją chciał mieć autor; ale zawsze jedna z lepszych; choć w rozmowie z Albą należało p. Bendzie więcéj plastycznie uwydatnić słuchaczom, to co mówił, tj. mówić tak, aby żadna z pięknych i ważnych kwestyj jego roli, nie przeszła niepostrzeżenie. Mniéj dobrém było samo zakończenie sztuki. Ów sen, w którym mu się Klara pojawiła, jak również i przyjazne współczucie syna Alby, czego się Egmont najmniéj spodziewał, uspakajają go i przygotowują do mężnego przyjęcia śmierci. Oczekuje jéj i w ostatniéj chwili, niby w proroczém przejrzeniu widzi zwycięztwo wolności. Kto przyszedł do takiego spokoju, do takiéj wiary, ten się nie rzuca, nie krzyczy jak opętany, ale z godnością i siłą przemawiać winien. — Może ta uwaga o scenie, za którą p. B. sute otrzymał oklaski, dziwną mu się wyda; my jednak stoimy przy swojém, i scenę, w któréj sekretarz Egmonta donosi mu o przybyciu Alby, policzymy do najlepszych w jego grze, choć za nią żadnych nie słyszał oklasków.

Brackenburg grając raz pierwszy grał doskonale — jego deklamacja, gesta, trzymały się w pięknéj równowadze z prawdą i z estetyką; ale niestety przy powtórnem przedstawieniu stracił tę równowagę i upadł w przesadę. Dziwne grymasy i krzywienia się twarzy, przeginania się i wykręcania palców u rąk, czyniły go stósowniejszym do komedyi, niż do poważnego dramatu. Pokazuje to, że artysta w téj roli więcéj dowierzał szczęśliwemu przypadkowi, niż dokładnemu wypracowaniu.

Pan Eker wyborną grą swoją (krawca) przypominał nam żywo wiedeńskiego Meixnera. Jakkolwiek pan E. z każdéj prawie roli wywięzuje się nie źle, jednak rola krawca podobnie jak Francuza w „Paziach“ może do najlepszych się policzyć. Doskonale odtworzył nam p. E. takiego krawca polityka, gadułę, tchórza; a choć rolka mała, umiał ją uwydatnić ciągłą grą niemą, a ożywioną i bardzo charakterystyczną. Jako najszczęśliwsze momenta, wymienimy tu koniec aktu I. — i owo przedstawienie się Egmontowi: „z przeproszeniem, jestem krawiec“.

Pani Aszperger rozpoczęła u nas gościnne występy: „Kabalarką. Sztuka jest tego rodzaju, że uwłaczalibyśmy znakomitej artystce, chcąc oceniać jéj grę w téj roli, któréj brak organicznéj całości, a poczęści i prawdy. Zachowujemy sobie też do następnego numeru sprawozdanie z kilku występów. *M.* —

MODY.

Po długiém wahaniu możemy upewnić Sz. Czytelniczki, iż na teraz mody z czasów Ludwika XV ustaliły się, przynosząc ze sobą dawniejszą elegancją i kokieterją w ubraniu. Moda zeszłoroczna upadła całkowicie — a na jéj miejsce dostarcza zakład p. Piefferd największy wybór stanów i sukien, z czasów Ludwika XV., z których niektóre opisy podajemy. Suknia na liczne zebrania lub proszony objad, z niebieskiego atłasu Stan niebieskiemi piórami ubrany, ogarniowany staroświecką koronką w kształcie kołnierza i kryzki z przodu. Kulki z piór zdobią rękawy i suknią, z przodu naśladując fartuszek, przy kieszeniach są szerokie koronki.

Suknia do wizyt z czarnéj materyi ubrana rozetami z czarnego atłasu. Stan suto koronkami czarnemi ubrany, kieszenie obszyte czarną koronką.

Bogaty strój wizytowy. Czarna mantynowa suknia z bardzo długim ogonem, obszyta jest pięć razy rulonem z atłasu zielonego i czarnemi wisiorkami dołem; wyżéj przyszyta czarna giupiura, naśladuje tunikę, która jest także rulonem atłasowym trzy razy obszyta. Stan stósownie do sukni ubrany; wreszcie paletocik tak jak suknia rulonami i giupiurą ubrany

Wielka ilość krótkich sukien z podwójnéj materyi np. pierwsza spodnica niebieska, fiołkowa lub zielona, materjalna, wyszyta czarną krepiną, druga spodnica krótsza, czarna stosownie obszyta. Paletocik czarny także wyszyty.

Z okryć najnowsze są: płaszczyk ***Marie Antoinette***, z kapturkiem giupiurowym, oraz paletoty piórami i futerkiem ubierane.

Do ubrania w domu najulubieńsze są kaftany tureckie czarne, aksamitne obszyte galonami złotemi lub srebrnemi, z stósownemi kutasami.

Do ubrana sukien zalecamy obszycie z piórek, oraz futerko łabędzie całkiem białe lub stosownym kolorem do sukni nakrapiane, wstążką kolorową okręcone, lub koronką cześciowo okryte. Obszycia atłasowe, rypsowe lub sieczkowe, a w końcu guziki i kutasiki, oraz frandzle wszelkiego rodzaju.

„Polki“ — obszywane ogonkami tomaków, bardzo są eleganckie — a na podbicie lekszych futerek ogólnie wzięte są Bielistki, których cena nadzwyczaj zniżoną została.

Widać wiele sukien z aksamitu angielskiego — są one krótkie z wierzchnią spodnica, po bokach długiemi klapami podpięte.

Ilość różnorodnych kapeluszy z trudnościąby można opisać, widzimy kapelusze w formie chusteczki, toczki węgierskie, kapelusz Medicis i czapeczki, na które zarzuca się kapturek koronkowy.

Dołączamy opis najnowszych kapeluszy.

Kapelusz aksamitny z niską główką, okryty kapturkiem czarnym koronkowym, garnirunek do twarzy z koronki, przytrzymany nad czołem przepaską złotą. Agrofka złota przytrzymuje pióro z boku.

Czarny aksamitny kapelusz, haftowany sieczką z długim welonem koronkowym czarnym, wieniec z liści złotych i stalowych jest nad czołem.

Toczek aksamitny koloru oliwkowego, obłożony stosownemi piórami z białym małym woalikiem.

Kapelusz „Medicis“ z białego, niestrzyżonego aksamitu, podszyty białym atłasem. Z boku przypięta długa, iluziowa szarfa.

Opis ryciny.

Osoba pierwsza ma strój balowy. Suknia biała długa, lekka — stan wraz z ubraniem z przodu z różowéj materyi, naszyty złotemi kutasami.

Osoba druga. ***Ubranie wizytowe*** złożone z sukni brązowéj jedwabnéj i casaka czarnego.

Ubranie dla dziewczynki. płaszczyk brązowy aksamitny, obłożony żółtém futerkiem.

Ubranie zimowe osoby czwartéj, zrobione całkowicie z korciku zielonkowato-niebieskiego.

Opis krojów.

Arkusz I. Fig. 1—7. ***Paletot zimowy*** trojakim sposobem zrobiony.

Widzimy pięknу i praktyczny paletot zimowy. Krój Fig. 1—3. jest podstawą trojakiego przybrania tegoż paletota, jak to z Fig 4—7. dokładnie widzimy. Fig. 5. są plecy, od Fig. 4. przedstawiające pełne dobrego gustu ubranie.

Fig. 6. plecy i Fig. 7. przód — okazuje znowu inne zupełnie przybranie.

Podług Fig. 1—3. można z łatwością krój w naturalnéj wielkości uzyskać, powiększając podług sposobu zwiększania z miarą na 48 części podzieloną.

Np.: przy plecach Fig. 1. wypadnie na długość 7 —25—62, i 102 umieścić, na szerokość 8—23—28$^1/_2$—40$^1/_2$ i 50, a przy samém wycięciu szyi 1$^1/_2$ do góry. Części te zastosowują się do szerokości w piersiach, przez co mniejsze lub większe wypadną.

Przytoczyliśmy tu tylko w krótkości opisany już nieraz sposób krajania, który jest najlepszy i najłatwiejszy.

Fig. 8. ***Zarys ubrania wizytowego*** Ubranie to jest w połączeniu ze stanikiem krajane zupełnie w kliny, ubrane szeroką szarfą w stanie i szarfkami na ramionach.

Fig. 9—13. ***Żaczek chiński***. Zastosowany jest dla osoby średniéj, mającéj 45—47 centimetrów szerokości piersi. Ponieważ krój nie jest zupełnie obcisły, można go z łatwością dla osoby otylszéj lub szczuplejszéj zastosować. Ubranie jest częściowo na kroju podane, w zupełności widzimy na zarysie Fig. 12. — Arkusz Nr. 2. — odwrotna strona.

Fig. 1—4. ***Żakiet do rannego ubrania.*** W ten sam sposób, jak wyżéj opisano, można i ten krój powiększyć. Fig 4. przedstawia żakiet w wykończeniu.

Fig. 5—9. ***Zimowy płaszcz z ubraniem w tył*** Możemy śmiało polecić jako modny i na zimę odpowiedni. Rękawy są długie i szeroko wszyte; ząb przy A. i B, aż do wycięcia szyi dochodzi. W złożeniu potrzeba na zgłoski uważać, tj.: A, B, C, D, i E. które ze sobą się stykają. Fig. 6. przedstawia obydwa przody, z których każdy inaczéj się kraje, gdyż prawą stroną zachodzi mocno na lewą, jak to Fig. 9. okazuje.

Fig. 10—14. ***Nowe wyszycia.*** Fig. 15—20. ***Modele dla modniarek.*** — Wyszycia mogą być maszyną lub sznurkiem cienkim robione, albo z guziczków, sieczki i paciorek ułożone. O sposobie robienia kapeluszy, jak i z czego, zostawiamy to osobom fachowym — podajemy tylko najnowsze formy tychże.

Dodatek nadzwyczajny.

Krój stanu sukni balowéj, dla osoby mającéj pół szerokości piersi 47—48 centimetrów. Jeżeli suknia kolorowa, stan powinien być czarną lub białą koronką, jeżeli biała, ryszkami jedwabnemi kolorowemi, które się w ząbki wycinają, ubrany.

*** Ignacy Piotr Legatowicz, znany epigramacista, zmarł niedawno w Mińskiéj gubernii. — Z dowcipnych jego epigramatów o żonce: — np.:

Moja żoneczka nadobna
Do epigrammy podobna:
Bo i mała i złośliwa
Jestto epigramma żywa.

Kiedy w domowém pożyciu coraz więcéj miał przykrości, wówczas oddając wet za wet, taki epigrammat umieścił w Dzienniku Wileńskim:

Szkoda że Linde w te czasy,
Gdy dawał Słownik do prasy,
Nie porozumiał się ze mną;
Dałbym mu z chęcią przyjemną...
Mam ja pięknie ułożony
Tom wyrazów mojéj żony,
Rzadkie podług mego zdania,
Osobliwie do łajania.

O pannie Świętorzeckiéj w Mińsku:

Dzienną robotę Anieli
Opiszę krótko, najwierniéj:
Cały poranek się bieli,
A cały dzień ludzi czerni.

O innéj staréj pannie, bodaj dotąd żyjącéj, tak powiada:

Lat czterdzieści Zosia miała,
Gdy się o tém dowiedziała:
Że jest cnota nad cnotami
Trzymać język za zębami.
Przebóg! czemuż dziś nie trzyma?
Trudno, bo już zębów nie ma.

Nagrobek:

Tu leży ciało,
Co całe życie siedziało.
Na tém też tylko różnica zależy,
Że wprzód siedziało, a teraz leży. itd.

*** Życiorys ***Artura Grotgera*** podamy dopiero w następnych numerach. Lubośmy mieli sposobność oglądania ostatnich prac jego w Paryżu — to jednak artysta ten zajmuje tak wybitne i odrębne stanowisko w rozwoju sztuki polskiéj, że nie godziłoby się życiorysu jego artystycznego i indywidualnego podawać pobieżnie, ale potrzeba poprzednio zasięgać imformacyj i materjałów z różnych stron kraju i zagranicy, i czekać na nadejście pozostałych po nim tek.

*** **Dla nawału rzeczy bieżących musieliśmy nieco zmienić zapowiedziany porządek artykułów.**

*** Księgarz Rych'er we Lwowie rozpoczął wydawnictwo ilustrowanych zeszytów, po cenie 60 c. p. t.: „Strzecha“ — a pod redakcją Franciszka Waligórskiego.

Treść zeszytu 1go jest wcale zajmująco ułożona z artykułów literackich i beletrystycznych, rysunek drzeworytów poprawny, ale wykonanie jeszcze nie szczególne. Wydawnictwo to może da początek rozwojowi sztuki ilustracyjnéj u nas.

*** Nie mamy wcale książek popularnych i praktycznych z dietetyki i higieny, służących nie na to, żeby się samemu le-

czyć, ale pouczających właśnie o potrzebie zawezwania lekarza i będących poradnikami w wychowaniu. Professor Cramoisy w Paryżu wydał właśnie: „*Remarques pratiques sur les maladies des femmes*“. Książeczka ta odznacza się stylem jasnym, potocznym, unikaniem wszelkich zwrotów ściśle umiejętnych, technicznych. Byłoby pożądaném, gdyby który z naszych lekarzy przerobił ją na polskie.

*** Wydawnictwo ludowe p. Alfreda Młockiego rozpoczęło już działalność swoją. Wydano już dwie książeczki: Żywot Ś. Kunegundy — 4 centy i opowiadanie o Kazimierzu Wielkim 6 centów. Forma i sposób opowiadania są właściwe, druk duży, ceny nizkie. Szczęść Boże!

Odwołując się do tego, cośmy powiedzieli o ludowych książkach w artykule Dwory i chaty Nr. 37. — tutaj przypomniemy jeszcze kilka uwag: Książeczki ludowe (mówi Libelt) powinny być pisane zdaniami krótkiemi — każdy rozdział winien mieć wyraźny tytuł, to ułatwia pamięć — nie ma tego w przytoczonych książeczkach. — Historyczno-powieściowych książeczek mamy już dosyć — trzeba się postarać o praktyczne, dla życia dzisiejszego. A nawet w historycznych podając faktów i dat, jak najmniéj — należy z każdéj sposobności korzystać dla wyzyskania przedmiotu praktycznie. Tak np. opowiadanie o Kazimierzu W. może mieścić rozdziały o gospodarstwie narodowém, o równouprawnieniu wyznań, o formie rządu, o zasadniczych ustawach itd. inaczéj z przeczytania takiéj książeczki nie więcéj pożytku, prócz, że w ogóle lud coś czyta. Nie jest on usposobiony jeszcze do naukowych książek — trzeba mu naukę wszelkiemi sposobami podsuwać.

*** Zdaje się, że karnawał tegoroczny zasypie nas taką lawiną balów, jak w zeszłym roku. Słyszymy już o balach: na ubogich, technickim, akademickim, Muzy itd. Zdaje się, że i kasyno miejskie odpowie swemu towarzyskiemu zadaniu. Upoważnia do téj nadziei wieczorek, który się tamże za staraniem gospodarza 15. z. m. odbył. Mała zabawka loteryjna, wyborna muzyka, liczne i wesołe towarzystwo poruszające się z całą swobodą, słowem, wieczorek wcale przyjemny. Lokal kasyna nie pozwala na wielkie bale *en pleine costume*. Atoli zebrania towarzyskie niegalowe, z muzyką, deklamacjami, a jak będzie ochota i z tańcami, mogą się wyśmienicie w kasynie co tydzień odbywać. Koszta muzyki może pokrywać wstępne, byle było bardzo małe.

Wydawca SZCZEPAŃSKI ALFRED. Redaktor odpow. MICHAŁ BAŁUCKI.

Upraszamy o zwrot niniejszego numeru — lub nadesłanie zalegającéj prenumeraty.

Załączając mody lub nuty, podkreśla się na adresie **czerwono** litery **m.** lub **n.**

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** roczni 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Mikołajska, 451, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. CZECHA.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“.

W **Poznaniu** w księgarni LEITGEBERA Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

KRAKÓW. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. MAŃKOWSKIEGO. — 1867.